

BLIZNY

Z inżynierem Stankiewiczem znaleźliśmy się raczej przelotnie, ale w przedziale pociągu zdążającego z Olsztyna do Warszawy od razu zgadaliliśmy się, że jedziemy do tego samego sanatorium. Trzymaliśmy się razem przez całą podróż, razem przesiadaliśmy w Warszawie a potem w Kielcach, dopiero na stacji przeznaczenia w tłumie wsiedliśmy do innych autobusów sanatoryjnych i w ten sposób w uzdrowskim biurze usług każdy z nas zgłaszał się oddzielnie. Dlatego nie zakwaterowali nas w jednym pokoju.

Następnego ranka spotkaliśmy się w parku i okazało się, że obaj mamy właśnie iść do planowania zabiegów — wybraliśmy się więc do kąpieliska razem. To właśnie wskutek tego przypadku od początku do końca spotykaliśmy się co drugi dzień w tej samej dwuosobowej kabinie, stale o tej samej godzinie.

Spotykaliśmy się zazwyczaj już wcześniej — po drodze do zakładu borowinowego albo w leżalni, gdzie rozbieraliśmy się do naga i w płaszczach kąpielowych oczekiwaliśmy na wezwanie kąpielowego. Gdy ten zawołał „kabina siódma” — wsuwaliśmy nogi w drewniane chodaki i klaszcząc nimi po posadzce, dreptaliśmy długim korytarzem. Stary kąpielowy zawijał mnie zazwyczaj pierwszego. Wyrzucał na stół zabiegowy dwa wiadra czarnej, gorącej mazi i rozpościwał ją aż do miejsca, w którym miały znaleźć się moje biodra. Kładłem się, a stary okładał mnie dymiącą borowiną, zawijał ceratową płachtą, a wreszcie przykrywał prześcieradłem i kocem. Na koniec nastawiał wielką, na drewnianej ramie umocowaną klepsydrę. Potem powtarzał te same czynności wokół Stankiewicza. Już pierwszego dnia musiał zauważyć coś na jego ciele, bo zapytał:

— To pamiątka z wojny?

— Tak — odpowiedział krótko inżynier.

— Był pan w partyzantce czy w wojsku?

— W partyzantce.

I nic więcej. Kąpielowy przeszedł do sąsiedniej kabiny, w której rozwijał z borowiny dwóch innych kuracjuszy, wrzucał ceraty z czarną mazią do wiader, następnie otwierał prysznic, pod którym pacjenci obmywali się z błota. Krzątał się jeszcze nad przygotowaniem

zabiegu dla dwóch następnych, aż wreszcie slyszeliśmy jego wołanie: „kabina ósma!”

Tymczasem w klepsydrach przesypywał się rudy piasek, a my pociliśmy się coraz bardziej. Borowina wyciskała z nas razem z chorobą wszystkie siły. Po dziesięciu minutach chciało się uciekać z tego męczeńskiego łoża, ale w górnej przegródce klepsydry pozostawało jeszcze piasku na kilka minut i trzeba było wytrwać do samego końca.

Kąpielowy wracał do nas mniej więcej właśnie w tym czasie i pytał: „No i jak tam?” — Odpowiadaliśmy niemal równocześnie: „Dziękuję, dobrze”, więc wychodził i pokazywał się dopiero w samą porę, by nas uwolnić ze zdrowiodajnego jarzma.

Gdy obmywaliśmy się z błota — każdy z nas pod swoim prysznicem — spojrzałem na mego sąsiada, by poszukać owego znamienia, które zainteresowało kąpielowego. Inżynier był dobrze zbudowany, miał szeroką, silnie rozwiniętą klatkę piersiową i muskularne ramiona, ale kark jego był sztywny, a górna część pleców między barkami zaokrąglona. Poruszał się niezręcznie, z trudem zmieniał położenie głowy. W toku naszych poprzednich przelotnych spotkań spostrzegłem, że jego ruchy są jakieś nie naturalne — sądziłem jednak, że to wypracowana poza, mająca mu dodawać uroku.

Znalazłem wreszcie to, czego szukałem. Na prawej piersi, spod owłosienia brązowiła się wąska, kilkucentymetrowej długości blizna. To była ta wojenna pamiątka. Nie powiedziałem nic, wychodząc z tego założenia, że jeżeli on sam nie podchwyci tematu, to nie wypada wnikać w jego odległe, osobiste sprawy.

Podczas drugiego spotkania w zakładzie borowinowym, nie mogłem jednak oprzeć się chęci dokonania dalszych oględzin inżyniera. Był w moim wieku, choć głowę miał bardziej łysą niż ja, a resztki włosów na niej były bardziej siwe. Kładąc w kabinie na stoliku swą kartę zabiegową, spojrzałem ukradkiem na jego kartę. Urodziliśmy się w tym samym roku.

Kąpielowy miał na pewno jakieś piętnaście—dwadzieścia lat więcej od nas, był już z pewnością w wieku emerytalnym, ale ruszał się żwawo, z łatwością dźwigał kubły i ceraty z borowiną, a równocześnie spełniał swe funkcje z wrodzoną matczyną troską.

Owego drugiego dnia — gdy leżałem spowity miłym gorącem, a Stankiewicz kładł się dopiero na borowinie — kąpielowy zagadał nagle:

— Pan spędził kawałek wojny w tej okolicy?

— Skąd pan wie?

— Ja nie wiem, tylko pytam.

